

35)

PAMIĘTNIKI EDWARDA GORONA

b. prefekta paryskiej policji śledczej.

(Ciąg dalszy).

Następnie powtórzył swój stereotypowy frazes:

— Nie brałem udziału w całej tej sprawie.

Już powyżej powiedziałem, że prawie nie miałem wątpliwości co do winy Pranziniego, ale, po owej konfrontacji, przeświadczenie to ostatecznie się we mnie utwierdziło.

Druga kobieta, Marja Dury, przyjaciółka Amelji Fabre, a również sama gospodyni tudzież i jej pomocnica potwierdziły wszystko powyżej wyłożone.

Było aż nazbyt oczywiste, że Pranzini otrzymał te kosztowności z Paryża, w pakiecie, który miał przy sobie, w niedzielę.

— Co znajdowało się w posyłce, którą otrzymałeś pan pocztą? — zapytał go sędzia śledczy.

— Same drobiazgi — odrzekł Pranzini.

— Jakie mianowicie drobiazgi?

— Sprężyny od zegarka.

— Sprężyny, za które zapłaciłeś pan pięć franków kosztów pocztowych?

— Nie wiem.

Przyciśnięty do muru, Pranzini jął się, widocznie zapłatywać. Z początku powiedział, że otrzymał sprężyny od nieznanego człowieka, na dworcu Ljońskim, przed swym wyjazdem, następnie wymienił jakiegoś doktora, Henryka Forstera, nazwisko, które następnie powtarzał.

— A gdzie podziłaś pan te sprężyny od zegarków? — indagował w dalszym ciągu sędzia śledczy.

— Porzuciłem je w Longchamps, — odpowiedział Pranzini. — Ale, jak właściwie cel mają wszystkie te pytania? Powtarzam panu, że absolutnie nie brałem udziału w całej tej sprawie.

Wyprawiono do Longchamps agentów wraz z robotnikami, którzy dokonywali poszukiwań i czynili rozkopy, ale nic nie znaleźli. Wówczas postanowiliśmy udać się tam wraz z Pranzinim, prosząc go o wskazanie drogi, po której szedł. Poprowadzić nas, oczywiście, po tych miejscach, przez które nie szedł, ale przechadzka ta nie okazała się bez pożytku.

Podczas owej wędrówki, masa narodu, zaledwie powstrzymywana przez żandarmów, tłoczyła się dokoła nas, ażeby popatrzeć na człowieka, którego aresztowanie wywołało sensację, w całej Francji. Wtem z tłumu rozległ się krzykliwy głos niewieści:

— Ależ, naturalnie, to on! To on sam, doskonale go poznaję!

Przyprowadzono nam natychmiast ową niewiastę, która, jak się okazało, utrzymywała miejsca ustępowe, w Longchamps.

— Naturalnie, że go poznaję, — recytowała w dalszym ciągu niewiasta. — Ten pan przyszedł, w niedzielę, około w pół do czwartej albo czwartej, wszedł do gabinetu i przesiedział tam jakieś dwadzieścia minut!

— Wcale nie znam tej kobiety, — zaprzeczył Pranzini, który jednak silnie pobił.

— Jak to, panie? Pan powiada, że pan nie był w moim gabinecie? Jak się panu podoba, ale ja tam pana doskonale poznaję wśród dziesięciu tysięcy osób! Przecie pan jesteś jedynym klientem przez całe moje życie, który mi dał napiwku pięćdziesiąt centymów! Trzeba było usłyszeć ton tego okrzyku, wygłoszonego w czysto prowansalskim narzeczu, aby pojąć, ile w tym zdaniu było tryumfalnego podziwu, a wraz z tem obrażonej miłości własnej. Jakiś, jedyny raz w życiu owa niewiasta ujrzała w swoim „buen retiro” szczerego Jegomościa, który nagroził ją srebrną monetą i człowiek ten nie chce teraz poznać jej! Z wielką naiwnością, ze wszystkich swoich sił, starała się ona przypomnieć mu wszelkie okoliczności, przytaczając przytem takie szczegóły, o których lepiej zamilczeć, ale które najwyraźniej dowodziły, że Pranzini wszedł do „buen retiro” z wyłącznym celem rzucenia tam kompromitujących go rzeczy.

Wydałem natychmiast rozporządzenie przeszukania miejsc ustępowych, ale okazało się, że co rano nieczystości bywają wywożone za miasto, do miejscowości, nazywanej Madrague. Posłaliśmy tam bezzwłocznie żandarma, aby uprzedzić assenizatorów, o konieczności przeszukania nieczystości.

Tymczasem przyprowadzono nam kobietę, z którą Pranzini przepędził noc z soboty na niedzielę. Była to dość urodziwa osóbką, o południowym typie Arlezyanek, znana w Marsylii, pod imieniem „Argentiny”, a mianująca się „artystką liryczną”.

Oto jej zeznanie:

— Udałam się do kawiarni „Monte Carlo”, około drugiej lub pół do trzeciej. Zwróciłam tam uwagę na przystojnego mężczyznę, który spoglądał na mnie i uśmiechał się. Po pewnym czasie przysiadł się do mojego stolika i zawiązaliśmy rozmowę. Był bardzo miły i uprzejmy i zgodziłam się pójść razem z nim. Zapłaciwszy rachunek, wyszedł wraz ze mną z kawiarni i udał się do mojego mieszkania, na ulicę Rzeczypospolitej. Jął się pośpiesznie rozbierać i, kiedy poprosiłam go o zrobienie mi prezentu, dał mi dwudziestofrankówkę, którą położyłam na lichtarzu, stojącym na stoliku nocnym. Nazajutrz szybko wyskoczył z łóżka, ubrał się i, wzięwszy do rąk kapelusz, powiedział mi surowo:

— „Oddaj mi mojego dukata, którego ci dałem wczora”.

„Kiedy poczęłam protestować, wyjął nagle z kieszeni mały rewołwer z kościaną rączką i powiedział głosem, od którego skóra mi ścierpła:

— „Jeżeli mi nie zwrócisz mojego dukata, zabiję cię!”

Napół żywa, schowałam głowę pod prześcieradło i usłyszałam następnie, jak podniósł lichtarz i wziął monetę. Zdecydowałam się podnieść głowę, dopiero wówczas, kiedy wyszedł, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Kiedy ją skonfrontowano z Pranzinim, ów zachował na ten raz całą zimną krew; już nie zaprzeczał, jak poprzednio, z głupim uporem, jeno spokojnie odpowiedział:

— Wszystko, co powiada ta kobieta jest prawdą, z wyjątkiem jednej okoliczności, a mianowicie: bynajmniej nie myślałem grozić jej; ona zupełnie dobrowolnie oddała mi mojego dukata.

Tu po raz pierwszy uwierzyłem, że, Pranzini mówi prawdę i dalsze szczegóły tej sprawy przekonały mnie, że przypuszczenie moje nie było błędne. Pranzini stanowił właśnie typ owego „pięknego mężczyzny”, do którego zawsze lgną kobiety, zwłaszcza zaś kobiety tego rodzaju i zdawało mi się to zupełnie naturalne, że „liryczna artystka” z ulicy Rzeczypospolitej, mogła znajdować się pod wrażeniem pieszczotliwych modrych oczu lewantyńczyka.

Nazajutrz, po przeszukaniu nieczystości, znaleziono rzucony przez Pranziniego do ustępu, w Longchamps, pakiet, którego zawartość stanowiła złota bransoleta, wysadzana turkusami, małe lustro w złotej ramce, alluminjowe pudełko do zapalek i parę innych przedmiotów. będące własnością Marji Regnaud. Jednocześnie otrzymałem z Paryża zawiadomienie, że damski zegarek i kolczyki, darowane przez Pranziniego kobietom przy ul. Ventomagy, zostały formalnie stwierdzone, jako stanowiące również własność pani de Montile.

Podług mojego osobistego przekonania, człowiek ten był niewątpliwie uczestnikiem przestępstwa przy ul. Montaigne; zeznanie pana Balaty, marsylijskiego lekarza, dało mi przedświadczenie, że Pranzini był również i mordercą, t. j. tym, który zadawał ciosy ofiarom.

— O północy d. 20 marca, — powiedział p. Balata, — zostałem wezwany przez p. Courte’a, komisarza policji, dla zbadania aresztowanego. Kiedy wszedłem do jego celi, był bardzo blady i miał wygląd przygnębiony. Począłem oglądać jego ręce i na lewej, którą do mnie wyciągnął, dostrzegłem niewielkie skaleczenie. Powiedział mi, że się skaleczył szczyrykiem, którym krajał chleb. Spojrzawszy następnie na prawą rękę, zauważyłem na prawym palcu nieznaczne starcie, przypominające kontuzję; na moją zapytanie odpowiedział, że starał się rękę, wychodząc z wagonu. Oba uszkodzenia były jednakowo zabarwione. Następnie poleciłem mu rozebrać się i stwierdziłem, że jest to dobrze zbudowany, zdrowy mężczyzna, ze szczególnie krzepkimi rękoma... Oglądając go nader pilnie, zobaczyłem na zewnętrznej stronie jednej z tydek lekkie zadrapanie, które, jak mówił, sam spowodował, drapiąc się, co było niemożliwe. Kiedy nazajutrz znowu przyszedłem do niego, do celi, dostrzegłem, że twarz jego, jak gdyby poczerwieniała i powiedział mi, że było to uderzenie krwi do głowy. Począłem go badać i najwyraźniej stwierdziłem krwawe pręgi dokoła szyi, jak gdyby stanowiące ślad niedawnego duszenia. Co do tego, to mogę powiedzieć, bez wahania się, że usiłował zadusić się.

Badanie Pranziniego, które przeprowadziłem następnie, w obecności p. Reverdin’a, sędziego śledczego oraz p. D’Orment, jeneralnego prokuratora, było wstrząsające.

— Panie Pranzini! — powiedziałem mu — pakiet, który pan otrzymał pocztą z Paryża, zawierał w sobie kosztowności, stanowiące własność pani de Montile, nieszczęsnej kobiety, którą pan zamordował.

Ręce jego nerwowo zadrżały, zmienił się na twarzy i zamknął oczy. Myślałem, że się teraz przyzna do wszystkiego. Ale widoczne było, że zapanował nad sobą i odpowiedział spokojnym głosem:

— Nie, ja nie jestem zabójcą Marji Regnaud. kochałem ją i szanowałem. Biedna, nieszczęśliwa ofiara!

A następnie, spieszczając głos, dodał:

— Ja miałbym zabić kobietę? To niemożliwe! Nie jestem zdolny do wykonania czegoś tak okropnego!

Wówczas prokurator Rzeczypospolitej zapytał go o Gesslera, którego nazwisko Pranzini już był wyczytał w gazetach.

— Dotychczas, — powiedział prokurator, — władze sądowe są przeświadczone, że pan jesteś jedynym zabójcą trzech kobiet; mógłbyś pan znacznie osłabić swoją winę, gdybyś powiedział, kto to jest ów Gessler, który pomagał panu w dokonaniu tego przestępstwa.

Wówczas przerwałem prokuratorowi i szybko zapytałem Pranziniego.

— Czy to nie ten Gessler, który, w noc morderstwa, wprowadził pana do mieszkania pani de Montile?

Ale Pranzini najspokojniej odpowiedział!

— Ową noc przepędziłem z moją kochanką, panią S., która winna potwierdzić moje słowa.

W istocie wiedziałem o tem, iż aresztowana p. S. złożyła formalne zeznanie, iż noc z 17 go na 18-y marca Pranzini przepędził u ni J. Ale zeznanie to nie posiadało w moich oczach wielkiego znaczenia i dlatego też powiedziałem:

— Dowodzi to tylko, że p. S. jest pańską współniczką.

— Nie posiadam współników — odpowiedział Pranzini — ponieważ nie dokonałem żadnego przestępstwa. Powtarzam panu, że nie brałem udziału w całej tej sprawie.

Taki niezrozumiały upór i oczywiście wyłgiwanie się wyprowadzały poprostu z cierpliwości, zwłaszcza, że wciąż nowe i nowe zeznania zwracały się najwyraźniej przeciw niemu. Tak np. szwajcar z hotelu Noailles, niejaki Kremps, z pochodzenia Alzatzczyk, zeznał, że widział, jak Pranzini, z gorączkowym pośpiechem niemal że wyrwał z rąk posłańca przyniesiony przezeń z poczty pakiet. Następnie niejaka Salomonówna, córka zegarmistrza z ulicy Rome, również poznała w Pranzinim owego człowieka, który wszedł do magazynu, w celu sprzedania złotych wyrobów jubilerskich, ale następnie, po namyśle, kupił zegarek, podpisawszy się na rachunku nazwiskiem Jauffrois.

(d. c. n.)